Rok I. Nr. 4
1 Kwietnia 1913 r.

HUMANISTA POLSKI

miesięcznik

Redaktor i Wydawca Aleksander Świętochowski

„CHOROBA CHRONICZNA“.

Spowiedź nowego ministra spraw wewnętrznych przed korespondentem Tempsa nie podobała się większości prasy rosyjskiej we wszystkich punktach z wyjątkiem jednego — kwestyi polskiej. Najsurowsze i najniedorzeczniejsze zasady działaczów państwowych w tej sprawie nie budzą zwykle—z bardzo nielicznymi wyjątkami—ani odrazy, ani protestu dzienników. Obecnie nawet utraciliśmy, zresztą bardzo płytką, sympatyę żywiołów postępowych i radykalnych skutkiem energiczniejszej obrony przeciwko podbojowi żydowskiemu. Kadeci zniesławiają nas i znieważają w swym głównym organie, którego redakcya stała się istotnym kahałem politycznym; wydawnictwa socyalistyczne zwłaszcza stojące „lewieje zdrawawo rozsudka“, również złorzeczą nam za to, że jako strupieszała burżuazja nacyonalistyczna nie chcemy dobrowolnie utonąć w zalewie żydowskim, który nawet jako błoto kapitalistyczne smakuje adwokatom proletaryatu. Naturalnie w przekonaniu gazet „czarnosecinnych“ i wstecznych przeznaczona dla nas dyscyplina miał zawsze zamało rzemieni. Nic też dziwnego, że na słowa ministra w kwestyi polskiej nie zwrócono wcale uwagi. A jakież to były słowa?

P. Makłakow wyznał, że kwestya ta jest „chroniczną chorobą“ państwa rosyjskiego, na którą dotąd nie wynaleziono lekarstwa i że jedynym środkiem zaradczym jest... wzmocnienie władzy. Całkiem niezależnie od szkód, jakie wynikają dla nas ze stosowania tej metody, należy zaznaczyć wogóle uderzającą jej przestarzałość. Na takiem stanowisku mógł stanąć minister Filipa II, Ludwika XIV, Mikołaja I, ale nie dzisiejszy,

http://rcin.org.pl

bo mieści się ono w obrębie tej starej medycyny politycznej, która twierdziła, że gdzie „żelazo nie pomaga, ogień pomaga“. W Rosyi panuje dotąd zabobonna wiara we wszechmoc władzy. Nie tylko administracyi państwa, ale również społeczeństwu zdaje się, że ani geniusz, ani dobra wola, ani praca, ani religia prywatnych jednostek i stowarzyszeń ludzkich nie dokona tego z największym wysiłkiem, co z najmniejszym sprawi „mocna ręka“ albo „jeżowa rękawica“ jakiegoś urzędu. Ogół tak przywykł do ubezwłasnowolnienia i opieki, że nawet w wypadkach, wyłączających potrzebę jakiejkolwiek kurateli, ogląda się na nią, nie ufając własnej inicyatywie i rozumowi. Znakomity satyryk rosyjski, Szczedryn, powiada: „Jeżeli nie wynaleźliśmy prochu to tylko dlatego, że w tym przedmiocie nie było żadnego rozporządzenia“. Ten żart zawiera dużo prawdy. Anglik w zakresie życia osobistego nie oczekuje od rządu niczego, rosyanin — wszystkiego. Dla niego władza jest jego mądrością, wolą, sumieniem. Rozumie się, tę wiarę przenosi on ze stosunków wewnętrznych na zewnętrzne. Anglik wynajduje rozmaite sposoby utrzymania krajów podbitych — inaczej postępuje w Indyach, Australii lub Kaplandzie: Rosyanin zna tylko jeden, zarówno dla Taszkientu, Kaukazu, Mandżuryi, jak Polski — silną władzę. Nie można zaprzeczyć, że ona w pewnych warunkach bywa środkiem skutecznym, ale nigdy powszechnym i trwałym, że przeciwnie w niektórych wypadkach, zwłaszcza tam, gdzie chodzi o zachowanie zdobyczy z wyższym poziomem kultury, staje się najgorszym i zupełnie zawodnym. Stosować do najrozmaitszych położeń i okoliczności tę samą zasadę — jest to niewątpliwie duża ulga i wygoda. Ale tak ułatwiać sobie zadania można tylko do czasu, dopóki one nie narzucą konieczności rozwiązań istotnych i dla każdego odrębnych.

Minister, który w wielkim procesie dziejowym dojrzał tylko „chorobę chroniczną“ i dla tej choroby nie wymyślił innego środka zaradczego prócz „wzmocnienia władzy“, odbywającego się od stu lat i od stu lat wykazującego swą bezskuteczność, nie mógł, czy nie chciał spojrzeć w zagadnienie głębiej, niż sięgała dotychczas tradycya rządzenia Polską. A obecna chwila — chwila pękania starych spojeń politycznych na półwyspie Bałkańskim — wymagała bardziej, niż każda inna, poważniejszego ujęcia sprawy analogicznej lub niedotykania jej wcale. Rzucony jako hasło ów truizm biurokratyczny nie tylko węzła nie rozwiązuje i nie rozcina, ale nawet nie daje żadnej wskazówki praktycznej i jest dźwiękiem bez treści. Bo jeżeli państwo nie chce zejść pod poziom najmniej wyrozumiałych form i zwyczajów rządzenia, to w jakim kierunku może jeszcze wzmocnić władzę w Królestwie Polskiem? Czyż ona nie jest dostatecznie silna? Czy istnieją jakieś wypadki, w których uczułaby niemoc? Trudno je wyobrazić sobie. W każdym razie słowa ministra mają wartość promienia, rozświetlającego położenie, zaciemnione domysłami i plotkami o „zmianie kursu“. Nadal więc pozostaje „choroba chroniczna i brak lekarstwa“ jako — kwestya polska.

---

http://rcin.org.pl

POLITYKA.

Trudno wyobrazić sobie komiczniejszy widok, niż t. zw. narady ambasadorów europejskich w sprawie wojny bałkańskiej. Bo naprzód trzeba uprzytomnić sobie, że ci panowie są przedstawicielami potężnych mocarstw, z których każde miałoby dość siły do zgniecenia wszystkich uczestników tej wojny a razem mogłyby wymusić na nich swą wolę w ciągu jednej doby. Pomimo tej wielkiej mocy i stanowczości w rozkazywaniu stronom walczącym, malutkie państewka słowiańskie nic sobie z nich nie robią i zachowują się tak, jak gdyby słuchały rad głupiego przyjaciela. Z początku owe mocarstwa zapowiadały uroczyście, że niezależnie od wyniku wojny nie pozwolą na żadne zmiany terytoryalne: napomnieni roześmiali się z tego i oświadczyli, że zdobyczy nie oddadzą. Potem zabroniono bułgarom szturmu do Adryanopola: tymczasem Adryanopol został szturmem wzięty. Zakazano czarnogórcom oblegać Skutari, czarnogórcy jednak ani myślą tego zaniechać. Austrya nawet posłała im ultimatum z natychmiastową egzekucyą i to nie poskutkowało. Słowem — farsa. Co jeszcze ambasadorowie uchwalą i czego wojujący nie wykonają—nie wiemy.

Obok upadku Adryanopola drugim zdarzeniem ważnem w ciągu ubiegłego miesiąca było zabicie króla greckiego, którego zastrzelił jakiś nieokreślony bliżej furyat.

Kwestya prawomocności wyboru Jagieła posłem z Warszawy, została rozstrzygnięta w Dumie uchwałą nieoczekiwaną. Jak wiadomo, wybór ten został zachwiany z racyi zastosowania w Królestwie Polskiem okólnika ministeryalnego, żądającego od posiadaczów drobnych mieszkań zgłaszania osobiście swoich praw' zamiast wciągania ich na listy automatycznie. Otóż Duma orzekła, że wszystkie wybory posłów z Królestwa odbyły się nieprawidłowo, ale wybór Jagieła nie podlega unieważnieniu. Koło Polskie w Dumie jest od początku krzywą wierzbą, więc i tym razem wskoczyło nań kilka kozłów z naganą, że ono po tej uchwale nie złożyło mandatów. Zaiste, dzika pretensya. Nie Koło zakwestyonowało p. Jagieła, ale wyborcy warszawscy, więc dlaczegoż inni deputaci mieli się cofnąć? Jeżeli zaś chodziło o zadośćuczynienie zasadzie, to przecież wyrazili gotowość odejścia, jeżeli Duma odmówi podstawy prawnej ich mandatom. Ale tego było jeszcze za mało dla P r i n z i p i e n r e i t e r e i naszych konsulów, którzy zawsze bronią respubliki z tej strony, z której nic jej nie grozi.

Po drodze.

Występ p. Bomasza. Nawet bogowie — tylko nie żydzi Jak Olimp łódzki patrzy na głód 10,000 robotników. Towarzystwo Ogrodnicze i jego prezes w kłopotach. Świętowanie handlu.

W Dumie petersburskiej wypisał nam znowu na blankiecie żydowskim swe świadectwo dr. Bomasz, poseł z Łodzi, z tej Łodzi, w której żydzi nie dopuścili do kolegium wyborczego ani jednego polaka. Według niego polacy mszczą się na żydach „bojkotem w n a j n i e k u l t u r a l n i e j s z y c h formach“ (podobno jednej żydówce oblano naftą pomarańcze w koszyku) z a t o, że ci śmieli bronić swych praw obywatelskich i swojej godności“. Tylko to. Daremnie prosili oni podczas wyborów w Warszawie, ażeby polacy przedstawili im kandydata, na którego mogliby głosować, chociaż by ze „ściśniętem sercem“. Nie chciano uwzględnić tego słusznego żądania i uparto się przy takim, który „na swym sztandarze miał napisane: ograniczenie żydów w prawach, bojkot handlu żydowskiego, ekonomiczny pochód krzyżowy przeciwko żydowstwu“. Krótko mówiąc poseł z Łodzi najwierutniej skłamał, ale należy go uniewinnić szczególnym przymusem gdyż dziś postępowania żydów w Polsce bez kłamstwa bronić nie można. Trzeba p. Kucharzewskiego zrobić zajadłym antisemitą, zwolennikiem gwałtu żydowskiego i apostołem bojkotu, trzeba na jego łagodnych postulatach położyć bardzo mocne akcenty, gdyż inaczej niepodobna usprawiedliwić ani gwałtownych napaści na niego organów asymilacyjnych, ani usunięcia się polako-żydów od organizacyi wyborów, ani apoteozy p. Jagieła. Zresztą w tem semickiem przemalowywaniu ludzi na urągowisko, jak kradzionych koni na targ, jest dużo tradycyjnej sztuki, czerpiącej swe natchnienia z bezwzględnej solidarności: dość trącić na Szpicbergu jakiegoś żyda puchem łabędzim, ażeby w Warszawie pozyskać tytuł „zoologicznego antisemity i zwolennika pogromów“. Piszący te słowa nie był nigdy ani jednym, ani drugim, mimo to został obydwoma, bo poddał żydów krytyce, od której według nich nawet bogowie nie powinni być wolni. Nawet bogowie — tylko jedni żydzi. Przypomnijcie sobie, ile to od nas dostało się posłom polskim w Dumie — Jarońskim, Nowodworskim, Grabskim i przejrzyjcie wszystkie pisma polsko-żydowskie, czy w nich znajdzie-

http://rcin.org.pl

cie jedno słowo nagany na dra Bomasza. Co tam Bomasz! Nawet dla tych nowoczesnych Abakuków, którzy nam życzą i przepowiadają Murawiewa! Gdyby ci Abakukowie mogli zetrzeć ze swych oczu dziwną ślepotę i dojrzeć, ile oni szkody wyrządzają swym spółwyznawcom i jak dmuchają w ogień nienawiści antisemickiej! Chyba nikt nigdy nie mógł z większą słusznością, niż Izrael polski, zawołać: „Boże broń mnie od moich przyjaciół!"..

O ile p. Bomasz, występujący w roli takiego nieszczęsnego przyjaciela z wieńcem wawrzynowym dla p. Jagieła, odegrał w Dumie krotochwilę, o tyle inna sprawa, związana z Łodzią, z tem miejscem niedoli i zbrodni, odsłoniła bolesny dramat. Jak twierdzi, interpelacya wniesiona do ministra spraw wewnętrznych, jest tam 10,000 robotników, zupełnie pozbawionych pracy a 40,000, zajętych w fabrykach przez kilka dni tygodniowo. Inaczej mówiąc, tysiące ludzi są zagrożone wycieńczeniem lub śmiercią głodową. „Polski Manchester" stanowi typową ilustracyę okrucieństwa kapitału, który tam jest rzeczywiście samolubny, bezlitośny i nienasycony. Zdawałoby się, że sam widok nędzy tych ludzi, którym fabrykanci zawdzięczają wszystko, co posiadają, którzy niejednego bogacza wydźwignęli na swych barkach z ubóstwa, którzy często zwyczajnych faktorów i przekupniów czynią milionerami, tarzającymi się w zbytku, zdawałoby się — mówię — że sam ten widok pobudzi Olimp przemysłowy w Łodzi do energicznego ratunku i hojnych ofiar. Bynajmniej. Niemal słyszymy słowa ewangelisty socyalistycznego: „Serca kapitalistyczne radują się widokiem głodomorowej rezerwy sił roboczych, która sprzeda swe siły po niższej cenie".

Towarzystwo Ogrodnicze a raczej jego prezes znalazł się w położeniu, którego zapewne nigdy nie oczekiwał: kontrolerzy bojkotu oskarżyli go, ni mniej, ni więcej, tylko o tajemne sprzyjanie żydom. P. Jankowski zrobił wszystko, co dla odparcia zarzutu uczynić należało: ogłosił swój rodowód, świadczący, że szan. pomolog posiada nawet pewne prawa szlacheckie, które sięgają aż do Styryi; wytłomaczył, że radca prawny Towarzystwa, chociaż w. m., oddał mu wielkie usługi; wreszcie zapewnił uroczyście, że jako dobry katolik od filosemityzmu stoi zdaleka. Tego jednak było za mało i policya bojkotowa w dalszym ciągu prześladowała niewinnego. Wtedy Towarzystwo Ogrodnicze, chcąc jakimś wymownym dowodem stwierdzić swą prawomyślność, „wystąpiło—jak mówi G o n i e c—w roli teologa" i zażądało zabronienia handlu warzywami w święta i niedziele. I oto stało się coś nieprawdopodobnego i niespodziewanego — właśnie ten objaw pobożności uznany został przez niektóre organy prasy za uboczne popieranie przekupniów żydowskich, którzy świąt katolickich nie zachowują. Jaki Towarzystwo Ogrodnicze wynajdzie inny sposób zrehabilitowania swej zakwestyonowanej prawomyślności — nie wiem. Ale co do samego projektu, to sądzę, że obrońcy przymusowego świętowania zajechali w zapędzie zadaleko i uplątali się w nierozwikłane sprzeczności. Bo dlaczego wolno każdemu pracować w najuroczystsze święta, a niewolno sprzedawać nawet w wypadkach najbardziej usprawiedliwionej potrzeby — tego żaden zdrowy rozum nie pojmie. Jeżeli tuż przy kościele założę kuźnię, warsztat stolarski lub ciesielski i będę tak kuł, strugał i rąbał podczas sumy, że ludzie nie będą mogli słyszeć kazania — tego mi nikt nie zabroni i co najwyżej ksiądz nałaje; ale jeśli w najodleglejszym zakątku miasta otworzę na chwilę sklepik dla sprzedania komuś kawałka chleba — ulegam karze. Czy to jest logiczne i słuszne? Wogóle państwo nie powinno ograniczać osobnika w pracy zarobkowej, o ile nie zobowiązuje się wyrównywać mu swą pomocą wszelkich z tego powodu niedoborów. Jeśli ono nie pozwala kupcowi handlować w święta, to niechże mu wzamian poręczy, że dopłaci brakującą sumę na komorne lub odzież dla dzieci. Co znaczy to szczególne skrępowanie handlu? Znaczy, że reglamentacyi chodzi nie o istotę rzeczy, ale o pozory. Ponieważ warsztat mieści się w lokalu zakrytym a sklep w oszklonym i otwartym z ulicy, więc pierwszemu można pozostawić swobodę a drugi trzeba ograniczyć. I to ma być poszanowaniem religii lub zabezpieczeniem odpoczynku pracy najemnej? Zabawna komedya!

H. D.

Zjazdy chłopskie.

Corocznie w marcu zjeżdżają się do Warszawy członkowie chłopskich kółek rolniczych: Staszicowcy i Centr. Tow. Rolniczego. Na

http://rcin.org.pl

tych zjazdach prócz spraw, obchodzących bezpośrednio życie wewnętrzne obu organizacyj, poruszane bywają i te ogólniejszego znaczenia, którym bieg wydarzeń powszechnych narzucił większą wagę. Ton i treść tych narad daje rzeczywiście przedsmak parlamentu chłopskiego, jak słusznie ktoś powiedział. Tyle tu powagi dostojeństwa, taka nierzadko głęboka świadomość, czego się po nich kraj spodziewa i co mu oni dać powinni. Ale jakże ciężką, pełną znoju i przeciwności jest ich praca, gdyż są garstką tylko, maleńką drobiną obudzonych i czuwających śród olbrzymiej masy pogrążonych w bezwładnej martwocie. A i ta garstka dzieli się i rozpada, niema w niej jedności i zgody, niema wiary w możność wspólnego działania, choć obie dążą do jednego celu i różnic takich między niemi nie widać, któreby je koniecznie wzajem sobie przeciwstawiać miały.

Różnice te wytwarzane są sztucznie, skutkiem niewłaściwej i całkiem zdrożnej rywalizacyi — zdrożnej, gdyż opóźniającej rozwój i wzrost tej siły, od której oczekujemy przetworzenia i odrodzenia całego narodu. Największy choć nie wszędzie jawnie występujący wróg tego ruchu — duchowieństwo — nie w tych jednostkach oczywiście, które się czują obywatelami kraju i członkami społeczeństwa — bruździ i wszędzie przeszkadza, nie tylko tu, gdzie klątwami rzuca, lecz i tam, gdzie pozornie w pracy społecznej udział bierze.

W tej walce o duszę chłopską, prowadzonej przez niego chytrze i obłudnie, z całą bezwzględnością nieprzebierającej w środkach rachuby, marnuje się niesłychanie wiele zasobów siły społecznej i gospodarczej. Lud w olbrzymiej swej masie stoi wobec niej bezradny, jak gromada owiec, napadnięta przez stado wilków. Czyż obrońcy jego nie czują, jak bardzo niebezpieczną grę prowadzą, rozstrzelając świadomsze a tak nieliczne jeszcze jego gromadki, rzucając je jedna na drugą? Wszak na całej ziemi polskiej potrzeby chłopa są te same. Dowiodły nam tego oba zjazdy. Tak Staszicowcy, jak Centrowcy z wielką jednozgodnością przyznają, jak bardzo przydałyby im się dobre szkoły, dobre drogi, w każdej gminie spółka spożywcza; jak gwałtownie potrzebne im jest uregulowanie handlu zbożem i trzodą, zorganizowanie spółkowego przemysłu mlecznego, handlu jajami, stworzenie nowej gałęzi produkcyi rolnej, wreszcie postawienie domu ludowego w Warszawie.

Tę ostatnią sprawę pierwsi podnieśli jeszcze w roku zeszłym Staszicowcy, obecnie gorąco zajęły się nią i kółka C. T. R.; lecz gdy tamci zbierają już pieniądze i posunęli się cokolwiek dalej, niż gołosłowne projekty, na zebraniach kółek C. T. R. nikt o tem nie wspomniał. Możnaby sądzić, iż lękano się nawet przypomnieć, że istnieją jeszcze jakieś inne kółka rolnicze a cóż dopiero powiedzieć publicznie, że już od roku zaczęły się krzątać około urzeczywistnienia tegoż samego projektu. Oto, do czego doprowadza partyjność i współzawodnictwo!—do śmieszności.

Kółka C. T. R. silniejsze są, materyalnie, dla podtrzymania ich rozwoju Towarzystwo posiada znaczne środki, powstałe z własnych zasobów i z zapomogi rządowej, jest ich też daleko więcej — około 1000, w których skupia się do 50,000 członków. Staszicowcom z każdym rokiem przybywa też zwolenników, lecz jakże maleńką jest ta gromadka 126 kółek i 5 czy 6 tysięcy członków wobec tamtej armii! Są także bez porównania biedniejsi, gdyż „sami sobie“ tylko na siebie liczyć postanowili. Zapomóg nie biorą, pomocy nie przyjmują, są hardzi i chcą być niezależni; ale też i w pracy postępują dość ociężałe. Moralny zysk niewątpliwie jest tu większy: hartują się charaktery, rośnie i rozwija się poczucie godności, jak stal człowiek tężeje. Walka najlepiej go uczy, że najtrwalsze są te ścieżki, które wydeptujemy sobie sami. Tamci zaś pracują w warunkach dogodniejszych; lecz i jednych i drugich prowadzi ta sama gwiazda.

W tem wszystkiem dziwnem jest jeszcze jedno: twierdzenie o odrębności interesów właścicieli większej a drobnej własności rolnej i przeciwstawianie ich sobie. Gdzież ta odrębność? Czy w taryfach przewozowych i celnych, czy w podatkach państwowych i gminnych, czy w warunkach posiadania i władania własnością? Ziemianinem jest zarówno ten, który ma 100 włók ziemi, jak ten, który na 10 morgach siedzi i zdawałoby się, że najgłówniejsze ich interesy są wspólne.

I.

---

http://rcin.org.pl

Jak się ubiera nasz lud.

Znika dawny, charakterystyczny strój który odróżniał naszego wieśniaka według okolicy, z jakiej pochodził; jeszcze tylko gdzieniegdzie pozostały go jakieś resztki, lecz pewnie nie nadługo. Jak wiele innych rzeczy, przejdzie on wkrótce do lamusa starożytności, jako wspomnienie i pamiątka.

W marcowym numerze Z d r o w i a dr. Lidmanowski zwraca uwagę na różne braki dzisiejszejszego przyodziewku ludowego. Jest on mniej więcej jednostajny w każdej grupie, a te wytwarza stopień zamożności. Inaczej ubiera się włościanin 20-sto i więcej morgowy, inaczej małorolny, inaczej wyrobnik, inaczej fornal dworski. Wszyscy oni jednak grzeszą przeciw higienie—jedni z musu, drudzy z niewiadomości i złego zwyczaju. Ale nawet biedniejsi, szczególnie mężczyzni, noszą koszule płócienne, najczęściej swego wyrobu, pod tym względem niema między nimi różnicy; po za tem—tandetę jarmarczną z lichego materyału bawełnianego, źle skrojoną, źle uszytą i mało ciepła dającą. Spodnie przytrzymują w pasie paskiem skórzanym, tak mocno ściągniętym, że aż wrzyna się w ciało. Szelek zaczynają używać ci, którzy wychodzą na roboty za granicę. Przynoszą oni sobie stamtąd obok kołnierzyków mocno krochmalnych lub z masy celuloidowej z nieodłącznym krawatem jaskrawego koloru, grubą koszulę trykotową, którą wdziewają na białą. Ma to być lepszem zabezpieczeniem od chłodu, którego dopełnia w zimie wierzchnia marynaka na futrze barankowem lub paltot watowany—zwykła niemiecka lichota, nabyta za granicą za tanie pieniądze, mało ciepła i niezbyt wygodna. Zimowem okryciem zarówno chłopa małorolnego, jak wyrobnika i fornala jest kożuch barani. Kosztuje on kilkanaście rubli i musi wystarczyć na lat kilka, z każdym rokiem stając się chłodniejszy wskutek wytarcia włosa. Na taki kożuch fornal, wysyłany w dalekie podróże z odstawami, wdziewa jeszcze burkę z grubego materyału i opasuje się paskiem.

Chłop, powracający z Ameryki, ażeby osiąść na roli i pracować śród swoich, całym swoim wyglądem odcina się zrazu od swego otoczenia. Koszulę nosi płócienną z krochmalnym gorsem, kołnierzykiem i mankietami, zapinanymi na spinki, dla ciepła wkłada na nią, drugą trykotową, takież kalesony, cienkie skarpetki, kamasze amerykańskie z szerokimi nosami i na nizkich obcasach, ubranie marynarkowe wełniane, paltot watowany, na głowie kapelusz filcowy, twarz starannie wygolona, bez żadnego zarostu. Tak się przedstawia „amerykanin" zaraz po przyjeździe. Z czasem te odrębności zacierają się i nikną.

W ubiorze zamożnego włościanina znać już większą dbałość o wygodę: zimą chroni go ono lepiej od chłodu, latem nie wystawia na przykrości gorąca. I w tej sferze mężczyzni noszą koszulę płócienną z kołnierzykiem, na to trykotową, kalesony też trykotowe, ubranie z grubego materyału wełnianego, na nogi skarpetki, kamasze, nawet kalosze, na głowie kapelusz filcowy. Do wyjazdu futro, zwykle szopy, ciemno kryte. Latem koszula płócienna, kalesony płócienne, ubranie z cienkiego kortu. Po domu, przy gospodarstwie zimową porą futrzane barankowe spodnie i takiż kaftan, kryty ciemnym, tanim materyałem.

Obuwie jest plagą wszystkich. Biedniejsi nie znają oczywiście skarpetek, ani pończoch. Chłopi noszą ciężkie, niezgrabne i wielkie buty z cholewami, stopy owijając w kawałki płótna, zwane onuczkami, do których w mrozy przybywa jeszcze słoma, wychodźcy używają już kamaszy z wązkimi nosami, w których palce zachodzą prawie jeden na drugi, stopa traci kształt i pokrywa się nagniotkami. Kobiety biedniejsze na gołe nogi wkładają trzewiki sznurowane z grubej skóry—i to tylko idąc do miasta na targ lub do kościoła; obuwie ich jest tak okropne pod względem higienicznym, że całe szczęście, iż noszą je rzadko i tylko do ozdoby; zwykle bardzo ciasne, ażeby noga wydawała się małą, z wązkimi nosami i na bardzo wysokich obcasach. W domu chodzą zazwyczaj boso lub używają trepek, tj. rodzaju pantofli, z drewnianemi podeszwami, bez napiętków. Zamożniejsze oraz te, które były za granicą, używają już pończoch. Ubiór kobiety jest wogóle jeszcze mniej higieniczny, niż mężczyzny. Uboższe noszą długą koszulę płócienną zapinaną pod szyję, na to spódnicę i kaftanik. Zimą kładą na siebie nieraz po kilka spódnic i kaftaników; do kościoła kaftan watowany i dużą chustką wełnianą. Dziewczyny, wychodzące na robotę za granicę, przynoszą stamtąd gorsety, ubierają się w suknie obcisłe, używają pończoch bawełnianych i kapeluszy z jaskrawymi kwiatami sztucznymi. Powracające

http://rcin.org.pl

z Ameryki odziewają się z większem jeszcze wyszukaniem, używają cienkiej bielizny z haftami, modnych kapeluszy i żakietów, obuwia amerykańskiego, wygodnego z szerokimi nosami, a co najważniejsza noszą majtki—latem lekkie, zimą ciepłe.

Tak jak ubranie wszystko w domu chłopa zależy od stanu jego zamożności. Biedny fornal, wyrobnik, nawet małorolny posiada tylko jedno łóżko i jedną pościel dla siebie, żony swojej i dzieci: pierzynę dużą i ciężką, kilka poduszek i prześcieradło z grubego płótna, pokrywające słomę. Dzieci do lat 5-ciu i 6-ściu sypiają zwykle z rodzicami, w nogach łóżka potem dostają własne posłanie—jedno na kilkoro. Powleczenie na pościeli zmienia się najwyżej 2 razy do roku. Jak takie spanie po kilka osób w jednem łóżku i przy tych warunkach czystości wpływa na zdrowie, dowodzić nie potrzeba.

W miarę zamożności poprawia się i to jednakże. Najsilniej może brak uświadomienia u kobiet wiejskich odbija się na dzieciach. Te stale bywają źle ubrane, przeważnie bose i prawie gołe. Wiatr podwiewa krótkie barchanowe sukienczyny i smaga po obnażonych nożynach. Nacierpi się to biedactwo, nim wyrośnie na człowieka zahartowanego na chłód i gorąco.

A jak w rodzinie takiego fornala lub wyrobnika, choćby też małorolnego włościanina postępują z noworodkiem! Podziwiać trzeba, że w takiej kruszynie tak twarde bywa już życie. Przychodzi to na świat w zimnej izbie kładą je w pościel, której ciepłota nie przekracza kilku stopni, kąpią w wodzie, nierzadko ogrzanej powyżej 40°, krępują powijakiem, żeby się „nie złamało“, do tego stopnia, że dziecko po całych często dniach i nocach płacze i spać nie może. Wychowa się w takich warunkach jedno na sześć, a ileż zmarnieje!

Zmieniło się już wiele na naszej wsi, zmieni się i to niewątpliwie. Przyjdzie większa oświata, która wniesie głębszą kulturę do chaty chłopskiej. Przywróci ona może niejedno z dawnego zwyczaju, co dziś pogardzony nowinkom ustąpić musiały, ale piękny, barwny strój wieśniaka polskiego, jak i starego szlachcica, pozostanie już tylko wspomnieniem, cenną dekoracyą uroczystości narodowych.

Wojna o kościół.

Rozprawy sądowe w Warszawie w sprawie walk orężnych między katolikami a maryawitami o kościół w Błoniu, rzuciły jaskrawe światło na stosunki kulturalne w naszym kraju i moralne podłoże życia najszerszych warstw jego ludności. Sam akt oskarżenia jest dokumentem historycznym niezwykłej dla tych stosunków wartości.

Szczególnie znamienną rolę odegrało tu duchowieństwo obu wyznań, — rolę podżegaczy, donosicieli, świadomych oszustów i kłamców.

Cóż dziwnego, że wobec takich pasterzy nad obu owczarniami unosi się swąd zgnilizny moralnej.

Pobożni maryawici i nie mniej pobożni katolicy, podając ucho poduszczeniom zbrodniczego fanatyzmu, gotowi byli mordować się wzajemnie z bezprzykładną zaciętością, a słudzy tego, który Piotrowi kazał miecz włożyć do pochwy, podniecali w nich uczucia nienawiści i mściwości — sami w najgorszej chwili ratując się ucieczką.

Kościół, zabrany gwałtem przez maryawitów w r. 1906, w tymże roku katolicy probowali odebrać również siłą. Nie obeszło się przytem bez rozlewu krwi i ciężkich poranień z obu stron a nawet śmierci. Sąd nad tymi wypadkami odbył się jednak dopiero w ubiegłym miesiącu.

Rzecz straszną wprost i rozpaczliwie bolesną przedstawiały zeznania większości świadków i w nich, jak w zwierciedle, odbiły się barbarzyństwo i ciemnota średniowiecza, dzikość i zaślepienie sfanatyzowanego ludu.

„Kiedym wyszedł z kościoła — mówi jeden — rzucili się na mnie i zabili. — Kogo zabili?—pyta sędzia—A no mnie,... Leżałem zabity na cmentarzu... Przyszli jacyś ludzie i mówili: „Nie może być, żeby mankietnik śmierdział na cmentarzu, trzeba go utopić w sadzawce“—i poczęli ciągnąć mnie ku sadzawce. Ale wtedy jeden maryawita wziął z kubełka wody i bryznął mi na twarz... Jakoś nie utopili...

— Któż was zabił? — pyta sędzia. — Tego nie wiem. Leżałem przez 6 miesięcy w łóżku, straciłem 200 rb., i oto meldują pretensyę.

Zwracają mu uwagę, że u sędziego śledczego oceniał swe straty na 6 rb. — on się upiera przy 200. Opowiada dalej, że był nie-

http://rcin.org.pl

żywy i nic nie czuł, choć słyszał, że go chciano utopić. Inny świadek zeznaje, że w tłumie mieli broń palną. Na zapytanie, czy rozumie, co to broń palna, odpowiada — „takie kije z żelazem“. — Inny opowiadał, jak przez 10 minut uciekał przed jeźdźcem, pędzącym za nim „co koń wyskoczy“ i dopiero przestał się bać, kiedy wpadł na jakieś schody. Chłopak 19-letni świadczył, że widział jak jeden z oskarżonych wsadził widły w środek brzucha pewnej kobiety, ale nie wie, czy ją skaleczył, czy nie. Ekspertyza lekarska wykazała, że innych obrażeń prócz pęknięcia czaszki na ciele zmarłej nie było. Pomimo to znaleźli się świadkowie, którzy dowodzili, że tenże sam oskarżony wziął zabitą na widły, choć już „nie firtała nogami“ i chciał ją utopić, ale mu nie pozwolono. Inny znów skarżył się, że przewrócili go na ziemię i „wydeptali“ mu zęby. Przedtem miał takie mocne, że mógł „zielazo gryźć“, a potem to mu tak w gębie „latało“, że musiał wieczorem iść do „siewca“ i ten mu zęby powyjmował.—Czemuż świadek nie poszedł o pomoc lekarską do doktora — pyta jeden z adwokatów. — Abo ja głupi — odpowiada. — Doktorzy chodzili i dobijali poranionych. Ja ta jeszcze miał siły i poszedł do domu.

Któraś znów z maryawitek dowodziła, że jeden z oskarżonych „rozkrajał“ jej głowę na dwie połowy, następnie z dwoma drugimi bił ją okrutnie, co mu się chciało, a ostatecznie strzelił do niej z rewolweru z odległości 5 kroków.

Charakterystyczną pamięć mieli niektórzy świadkowie. Duchowny maryawicki np. przypominał sobie świadka, którego widział w tłumie, a do którego zeznań chciał natchnąć sąd nieufnością — i przypomniał sobie, że ten świadek wymyślał... ale nie pamiętał, że był z nim w towarzystwie kilku osób i że on pomagał mu myć się i własnymi końmi odwiózł go potem na stacyę.

Tak świadczą sługi Chrystusa.

Ofiarą, takich wypadków, biedną, poniewieraną, okłamaną i pohańbioną jest zawsze ten lud ciemny, wodzony na pasku przez różnych wyzyskiwaczów i szalbierzów.

Bandytyzm.

Dzieją się dokoła nas rzeczy niezwykłe; zdawać się może, żeśmy się cofnęli w najciemniejsze czasy średniowiecza, kiedy rozbójnictwo kwitło po drogach i nikt nie był pewien życia swego, ni mienia. Ze wszystkich prawie stron kraju nadchodzą skargi żałobne i przerażające wieści o zuchwałych i zbrodniczych napadach, nigdzie jednak ta straszna plaga nie dosięgła takich rozmiarów, co w powiatach, mających wejść do przyszłej guberni Chełmskiej. Tu pod wodzą Jana Rycaja operująca banda dokonała całego szeregu najść zbrojnych i krwawych w celach rabunku. Ostatni napad na Swidniki, własność p. Węgleńskiego w pow. Hrubieszowskim, zawiera szczegóły wstrząsającej grozy. Przebieg jego przytaczamy w opisie Ziemi lubelskiej w całości gdyż nawet w kronikach bandytyzmu rzadkie są wypadki podobnej zuchwałości i rozbestwienia.

„O godz. 2 po poł. do gorzelanego w Świdnikach przyszło dwóch uzbrojonych w brauningi ludzi, którzy, steroryzowawszy go wymierzonemi doń lufami, kazali mu zaprowadzić ich do kancelaryi dziedzica.

Kancelarya mieści się w szczycie domu, a wchodzi się do niej przez ciemny korytarzyk, do którego z jednej strony jest wejście wprost ze dworu a z drugiej drzwi do wnętrza domu mieszkalnego.

Gdy bandyci zastukali do drzwi zewnętrznych, otworzył im je lokaj, do którego bandyci odrazu dali kilka strzałów, raniąc go w rękę i piersi.

Na odgłos strzałów z wnętrza domu wybiegł właściciel Świdnik, p. Jan Węgleński z bronią śrótową systemu Browninga w ręku i strzelił do bandytów, z których jeden upadł raniony.

Wtedy drugi, zasłaniając się słaniającym się skutkiem ran lokajem, zaczął strzelać do p. Węgleńskiego, który schronił się do kancelaryi, gdzie go raniła śmiertelnie jedna z pierwszych kul bandyty. Pan Węgleński upadł przy biurku na podłogę i wkrótce zmarł.

W tym czasie do kancelaryi przybiegła 16 letnia panna Węgleńska i, zobaczywszy ojca leżącego na ziemi, rzuciła się ku niemu, lecz bandyta odtrącił ją i dał do niej strzał, raniąc w piersi, poczem do leżącego na ziemi p. Węgleńskiego dał jeszcze kilkanaście strzałów.

Następnie bandyta wrócił do rannego towarzysza, wziął go na ręce i ułożył na kanapie w kancelaryi, rozkazując pod grozą śmierci pani Węgleńskiej, którą kanonada zwabiła do

http://rcin.org.pl

kancelaryi, aby przyniosła materyały opatrunkowe, co gdy steroryzowana kobieta uczyniła, bandyta zmusił ją do zrobienia razem z nim opatrunku rannego rozbójnika.

Dokonawszy tego, bandyta kazał założyć 4 konie dla odwiezienia rannego. Ponieważ blizko nie było nikogo ze służby, ażeby zanieść do stajni odpowiednie polecenie, przeto bandyta, trzymając w ręku rewoler, kazał pani Węgleńskiej z córką iść przed sobą do stajni. Po drodze spotkano ogrodnika, któremu p. Węgleńska wydała rozporządzenie. W przejściu ze stajni do dworu bandyta strzelał na prawo i lewo i dał około 200 wystrzałów.

Gdy pod ganek zaszła bryczka, założona w 4 konie, bandyta oburzył się nadzwyczajnie i kazał zmienić ją na karetę. „Tylko szpieszcie się krzyczał on, bo wszystkich wystrzelam!“

Polecenie to szybko wykonano, wtedy bandyta kazał p. Węgleńskiej zawołać lokajczuka i z jego pomocą wsadził do karety rannego, przy którym sam siadł, i kazał jechać do odległego o 2 wiorsty lasu świdnickiego, grożąc znowu powróceniem i wymordowaniem wszystkich, jeśli kto odważy się go ścigać.

Kareta z rozkazu bandyty ruszyła galopem. W lesie wysiadł z niej, rozkazując furmanowi jechać ze zmarłym towarzyszem, gdzie chce i nakazując mu powiedzieć w Skiebreszowie, że zmarły bandyta nazywa się Jan Rycaj.

Furman zawrócił do Świdnik, dokąd przyjechawszy, zemdlał ze wzruszenia i strachu.

Bandyta skrył się w lesie i dotąd na jego ślad nie natrafion.

Cały opisany napad trwał około $1^1/_2$ godziny. Liczna służba folwarczna i włościanie z sąsiedniej wioski zlecieli się na odgłos strzałów, ale ze strachu nie przedsięwzieli żadnej akcyi obronnej. Rządca, gorzelany i kucharz, uzbrojoni w dubeltówki, nie śmieli strzelać do bandyty, gdyż tenże ciągle zasłaniał się panią Węgleńską i jej córką.

Przyczyną napadu, jak głoszą, ma być zemsta na p. Węgleńskim, za podjętą przez jego szwagra, p. Grotusa, akcyę samoobrony przeciw bandytom“.

Interpelacya o szkolnictwo polskie.

Koło polskie wniosło w Dumie interpelacyę, która w zarysie jest historyą stosunków szkolnych w Królestwie Polskiem, dlatego przytaczamy ją w całości.

Część rezolucyjna interpelacyi, poprzedzonej przeszło 20 stronicami memoryału brzmi tak:

„Czy wiadomo jest prezesowi Rady ministrów i min. oświaty, że:

1) Najwyżej zatwierdzona w d. 24 maja 1908 r. decyzja Rady ministrów o warunkach nieodzownych przy mianowaniu nauczycieli języka rosyjskiego i cerkiewno-słowiańskiego, historyi i geografii w zakładach naukowych warszawskiego okr. nauk. (Zbiór Praw i Rozporz. 1908 roku art. 1098) została powzięta niezgodnie z prawem i czy będą i jakie przedsięwzięte środki dla kasacyi tego postanowienia?

Czy wiadomo im jest, a specjalnie ministrowi oświaty, że organy władzy szkolnej systematycznie utrudniają powstawanie, istnienie i prawidłowy rozwój w Królestwie Polskiem szkół prywatnych z językiem wykładowym polskim, bez żadnej ku temu prawnej zasady, odmawiając pozwolenia w wielu wypadkach na otwarcie zakładów naukowych, a istniejące gnębiąc nieprawnemi żądaniami i rozporządzeniami i czy będą i jakie środki przedsięwzięte dla usunięcia takiego nielegalnego stosunku?

Czy znane są im poszczególne przypadki nielegalnego postępowania organów władzy szkolnej, wyliczone w punktach 4, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13 i 14 niniejszej deklaracyi i jakie środki będą przedsięwzięte dla usunięcia nielegalnych żądań i rozporządzeń“.

Poszczególne punkty deklaracyi, na które się powołują interpelujący są następujące:

P. 4-ty mówi o usunięciu wszystkich polaków od wykładania jęz. rosyjskiego, historyi i geografii w szkołach prywatnych, podczas gdy nawet nieprawna opinia Rady ministrów tego nie miała na celu.

Punkt 6 mówi o niezgodnem z prawem wtrącaniu się policyi do spraw wewnętrznych szkół „dla sprawdzania, czy rozporządzenia władzy szkolnej są wykonywane“.

http://rcin.org.pl

Punkt 10 mówi o bezprawnym cyrkularzu, z d. 10 czerwca 1910 r., którym polecono szkołom prywatnym w Królestwie Polskiem, aby swój rozkład zajęć (ilość godzin wykładu jęz. rosyjskiego i t. p.) ściśle stosowały do takichże rozkładów rządowych.

Punkt 11 wskazuje na nielegalny cyrkularz, żądający, aby spisy uczniów i dzienniki klasowe szkół prywatnych prowadzone były w jęz. rosyjskim; punkt 12—o żądaniu, aby nawet uczniowie swoje dzienniki do zapisywania lekcyi prowadzili po rosyjsku; punkt 13—o żądaniu, aby świadectwa szkolne były pisane w języku rosyjskim i punkt 14 wreszcie o usunięciu nauczycieli szkół ludowych w Królestwie Polskiem od udziału w kasie emerytalnej".

Polacy w Ameryce.

Zwarty i liczny zastęp, w jaki się skupiła emigracya polska w Stanach Zjednoczonych, przedstawia pod względem psychicznym dość zagadkowe a przedewszystkiem bardzo sprzecznie rozumiane zbiorowisko. Do niedawna utartem było mniemanie, że polak, osiedlający się na stałe w Ameryce, prędzej, czy później ulega wynarodowieniu; jeżeli nie on sam, to już dzieci jego a bezwarunkowo wnuki zapominają języka i tracą poczucie polskości. Do uznania tej konieczności doprowadzono nas tak niezbitem w swej logice rozumowaniem, że walczyć z niem zdawało się niepodobieństwem: Wychodzi z kraju chłop ciemny, zabiedzony, przyzwyczajony do lekceważenia i poniewierki, niejednokrotnie krzywdzony, zatruty nieufnością i nienawiścią do warstw oświeceńszych i niby „swoich" a tak dalekich mu i obcych, na tej ziemi wygnania znajduje on lepszy byt i przyjaźnie wyciągającą się doń rękę. Śród nieograniczonej swobody, w otoczeniu ze wszech stron dostępnych skarbów cywilizacyi i oświaty dusza jego budzi się. Jak pąk kwiatowy pod działaniem słońca prężnieje i rozwija się świadomość, umysł zaczyna pracować i zastanawiać się; rzecz prosta — wzrok ducha zwraca się w tę stronę, skąd przyszło dla niego światło. A jednak nie. Mówią nam fakty i ludzie, że polski chłop w Ameryce właśnie staje się polakiem, że ten „katolik" tu dopiero dowiaduje się, iż jest członkiem społeczeństwa polskiego. Od rozpłynięcia się w morzu amerykańskiem chronią go nietylko wielkie i licznie rozsiane skupienia polskie, które każdego nowo-przybywającego przygarniają i wchłaniają odrazu, lecz także własna, w naturze jego tkwiąca siła odporna. Prasa amerykańska niejednokrotnie stwierdzić miała, że najtrudniej asymilują się polacy. Stanowią oni w Ameryce czteromilionową, wyodrębnioną masę, posiadającą niezliczoną ilość instytucyj o silnem zabarwieniu narodowem: „Wzniosła je kosztem milionów dłoń chłopa polskiego — mówi p. Jan Bielecki w jednym z bliższych numerów Ś w i a t a — tego chłopa, który na brzeg amerykański przybył w stanie absolutnie surowym i prócz dźwięków ojczystej mowy nic z sobą nie przyniósł". Nie znalazł on tu także wykształconych przewodników narodowych, gdyż inteligencyi polskiej długo nie było śród emigrantów, a jednak nie uległ nęcącym wpływom Nowego Świata. Być może zabezpieczało go od nich przyzwyczajenia do życia gromadnego, które wyniósł ze starej ojczyzny. Sam, z pośród siebie wytworzył warstwę oświeceńszą i początki tej kultury, która się dziś już wyraża rosnącą świadomością żywiołu polskiego, szybkim rozwojem organizacyj narodowych, ciągłem mnożeniem się polskich szkół wyższych i niższych oraz innych instytucyj oświatowych.

Rząd amerykański, jakkolwiek nie ucieka się do dzikich i barbarzyńskich sposobów pruskiej asymilacyi, nie przypatruje się jednak biernie tej hodowli cudzych płonek na swojej grzędzie i stara się ofiarować przybyszom przynęty cywilizacyjne tak wysokiej miary, ażeby olśnić i przyciągnąć ich nieodwołalnie. W dzielnicy polskiej w Chicago np. gmina wzniosła wspaniały gmach, w którym, specyalnie dla polaków, miały się odbywać bezpłatne wykłady popularne w języku angielskim. Stał pustkami przez lat dwa; a dziś tam rojno, ale wykłady prowadzi polski uniwersytet ludowy. Młodzież polska, urodzona i wychowana w Ameryce, która nigdy nie widziała dalekiego kraju, wie jednak, że dzieje jego mają niejedną piękną kartę i treść niezmiernie bogatą i barwną w zestawieniu z ubóstwem historyi Nowego Świata, a nie doświadczywszy krzywd i upokorzeń, przez jakie przeszli jej ojcowie, może łatwiej zapomnieć, przebaczyć i ukochać tę daleką ojczyznę, której chwałę głoszą nawet amerykanie. Małżeństwa, zawierane niemal za-

http://rcin.org.pl

wsze między sobą, zabezpieczają od utraty języka, który choć mocno skażony, przechodzi z pokolenia na pokolenie. W ostatnich czasach śród polek amerykanek mówienie piękną polszczyzną zaczęło podobno uchodzić za rzecz dobrego wychowania. Jest to rys bardzo znamienny wzmagania się świadomości narodowej śród wychodźców. Świadczy o niem inny fakt jeszcze: pod wpływem niedawnych wstrząśnień w Europie dokonało się w jednej chwili połączenie wszystkich amerykańskich organizacyj polskich, nieraz wrogo wobec siebie występujących. Powstał jeden wielki „Komitet obrony", w którego skład weszli przedstawiciele zrzeszeń, liczących ogółem 240,000 ludzi. Taka siła może już zaważyć na losach kraju. Dlatego p. Bielecki stara się nas przekonać, że nie powinniśmy zapominać o tej czwartej dzielnicy polskiej, ani pozwalać sobie zwątpić w jej narodową żywotność; bo cennymi dla nas są choćby tylko te miliony, zdobyte w kopalniach i fabrykach amerykańskich, za które chłop polski wykupuje z rąk niemieckich i żydowskich ziemię ojczystą.

Zapewne, ale gdy nam tu bezustannie dach płonie nad głową, a ta ziemia ojczysta drży i z pod nóg się usuwa, młoda Polska w Ameryce mogłaby nam oszczędzić wymówki, że niedosyć nią się zajmujemy. Wy nie czujecie tam nawet podmuchów tej nawałnicy, która stale miota nami we wszystkie strony, i nie widzicie wysiłków i zmagań się naszych: ta walka wyczerpuje całą moc naszą. Zabawnie też brzmią utyskiwania siłacza, który, zdrów na ciele i duchu, domaga się pomocy, zamiast nieść ją bardziej potrzebującym.

Muzyka w Warszawie.

Wszyscy nam zarzucają, że jesteśmy mało muzykalni, nawet ci, którym to przypuszczalnie wielki ból sprawia. Posiadamy wprawdzie znakomite talenty twórcze i wykonawcze, którymi chlubimy się chętnie. Na szczytach sztuki dosyć ludno u nas i gwarno, lecz w nizinach panuje pustka i chłód. Ożywia ją tylko czasem i rozgrzewa jakieś wielkie nazwisko, jakaś wszechświatowa sława. Kto tego patentu nie posiada albo sobie za granicą nie wyrobi, ten, choćby grał jak św. Cecylia, duszy naszej nie poruszy, uznania u nas nie znajdzie. My sami nie poznamy się na jego wartości, nie dojrzymy jej, nam trzeba dopiero pokazać ją, nauczyć jak małe dzieci, że to wielki muzyk, któremu należy okazywać głęboki szacunek i kłaniać się bardzo nizko. A wówczas, jeśli to jeszcze w dodatku będzie „rodak", uwielbienie nasze przechodzi w ślepe bałwochwalstwo, cześć w uniżoność niewolniczą. Zaczynamy natychmiast przelicytowywać się w objawach zachwytu, nie znajdujemy superlatywu dość silnego dla oddania jego akcentów; stajemy się natrętni, niedalikatni. Jaki to musi być przykry widok dla człowieka subtelnego takie nieokiełznane ciskanie się sztucznie podniecającego się żywiołu. On przecież wyczuwa doskonale, że w tych uniesieniach jest dużo przesady, śmiesznej nawet niekiedy i obrażającej, zaś bardzo mało tego, co między artystą a jego słuchaczami stwarza cudną nić porozumienia duchowego — wspólnej im miłości dla wielkiej sztuki. Bo my muzyki nie kochamy, ona nie stanowi potrzeby w naszem życiu: dusza nasza zamknięta, jest dla tych wzruszeń, jakich ona dostarcza prawdziwym swym miłośnikom. Gdybyśmy ją kochali tak, jak niemcy lub żydzi, nie mówionoby, że Filharmonia nie mogłaby istnieć bez tych ostatnich w Warszawie. My „lecimy" tylko na sławy a po za tem nie wyszliśmy jeszcze za operetkę. To dziedzina prawdziwie zrozumiałej dla nas rozkoszy — lekko spływającej po umęczonych, spracowanych naszych duszach i nie obciążającej żadnym wysiłkiem naszego mózgu.

Paderewski po 10 latach nieobecności przyjechał do Warszawy i dał dwa koncerty a właściwie trzy—jeden na dochód Kasy literackiej. Czy znalazł, żeśmy przez ten czas urośli i bardziej dojrzali? Grał przepięknie, porywająco, a jednak miał się wyrazić, że publiczność warszawska jest mało muzykalna. Coś mu to przykre spostrzeżenie narzucić musiało. Tak, na sali i dookoła niego zachowywano się, jak tylko ludzie mało muzykalni i, powiedzmy otwarcie, nie nazbyt kulturalni zachowywać się mogą: nie było należytego poszanowania ani dla sztuki, ani dla artysty. A to przecież wielki artysta i w dodatku — co w tej sferze bywa rzeczą niesłychanie rzadką — przepiękny charakter, niezwykły człowiek i wielki obywatel. Obok Matejki to może jedyny artysta w naszem społeczeństwie, a kto wie, czy

http://rcin.org.pl

nie na całym świecie, który dla siebie żadnych przywilejów nie żąda, na żadne odpusty sobie nie pozwala. W jego życiu niema nic, co cieniem zawstydzenia mogłoby przysłonić jego oczy — czyste ono jak kryształ, głęboko szlachetne i bezwzględnie prawe a subtelnością i dobrocią przesiąknięte.

A przy tem Paderewski jest gorącym patryotą, jest polakiem w najlepszem tego słowa znaczeniu — niezłomnym w poczuciu obowiązków jakie to, wysoko przezeń pojęte, stanowisko wkłada. Jego ofiarność na cele publiczne jest wprost imponująca: daje jak najszczodrobliwszy monarcha, ale ze skromnością i pro stotą zwykłego śmiertelnika.

Słusznie, że przyjmowano go z wielkiem uznaniem i zachwytem, ale niepotrzebnie wpadano w przesadę. Tytuł mistrza jest dość zaszczytny, po co mianować „mistrzem nad mistrzami", zwłaszcza że takiego nie ma i nigdy nie było.

J. P.

Rzeźba.

Rzeźba belgijska. Kilkanaście dzieł Konstantego Meunier'a dano nam oglądać w Tow. Z. S. P. Szereg postaci silnych, wyrazistych, prawie wyłącznie ze świata pracy. Jest to oczywiście tylko drobna, bardzo drobna cząsteczka tego, co artysta stworzył, ale jakby umyślnie tak dobrana, ażeby podkreślić i mocno uwydatnić jego kult dla ludzkiego znoju. W tych ciężkich, od wielkiego trudu chylących się, od niezmiernego i długotrwałego wysiłku zniekształconych postaciach jest jakaś potężna, za serce chwytająca wymowa, prostota, harmonia, naturalność i taka mocna prawda, jaką tylko w istotnem życiu znaleźć można; nie beznadziejna, ani rozpaczliwie przygniatająca do ziemi, gdyż zdrowe życie takiej nie zna. Swego błogosławieństwa ono nikomu nie odmawia, każdemu daje w rękę potęgę żywiącą i kojącą, oręż zdobywczy: pracę. Pod tym znakiem dostojeństwa stąpa „Siewca" po zoranej roli, pełną garścią rzucając ziarno dla przyszłego plonu; a nie czyni on tego, jak bezmyślny automat, który nie zastanawia się nad tem, co robi, myśl bije z całej jego postaci — żywa, czujna, pulsująca. Tuż obok młody robotnik, tragarz w porcie — zwyczajny robotnik w prostej koszuli i szarawarach — stoi w niedbałej pozie i odpoczywa zamyślony, czy zapatrzony gdzieś w dal. Jego rdza znoju nad siły jeszcze swym niszczącym jadem nie dotknęła; kształtny, muskularny zdaje się z niej naigrawać. Coś z nieulękłego majestatu świadomej siebie potęgi ma „Holownik" na koniu, krępy, przysadzisty, w butach za kolana, w kapeluszu z opuszczonemi skrzydłami, jak żołnierz holenderski z XVI wieku. Wszyscy oni — i Rybak na koniu, i Hutnik ,i Oracz, i Górnik — wszyscy bez wyjątku są to namaszczone symbole życia, poddani najsroższego, najbardziej nieubłaganego, choć najwznioślejszego, najszlachetniejszego i zarazem najwdzięczniejszego monarchy: wszechwładnej, życiodajnej i życie biorącej— pracy. Artysta zdaje się korzyć przed nią, czcić ją i kochać. Blask tego uczucia rzucił na tych, którzy są jakby najbardziej widomym jej znakiem i wyszlachetnił udostajnił ich rysy prześwietleniem swego ducha.

Walery Przyborowski.

Dnia 13 marca zmarł w Warszawie w 68 roku życia. Był wychowańcem Szkoły Głównej. Porwany wypadkami 63 r., służył w powstaniu pod Langiewiczem. Na początku swej karyery literackiej znalazł się w gronie pozytywistów, z „młodej prasy". Następnie zwrócił się do powieści historycznych. Literaturę dla młodzieży pomnożył całym szeregiem opowiadań na tle porozbiorowych dziejów Polski.

Głównem polem, na którem pracowała i rozwijała się myśl jego, był okres, objęty powstaniem 63 r. Z tych czasów zostawił „Historyę dwu lat" w 5 tomach i „Dzieje 1863 roku" w 4 tomach. Skrzętny zbieracz materyałów historycznych tej epoki, zgromadził w swych rękach niezwykły zasób dokumentów pierwszorzędnej wartości: jak sam twierdził, rzadkim jest druk, któregoby nie posiadał. A pomagali mu w tem wszyscy — nawet generałowie sztabowi i pułkownicy żandarmeryi, nawet jeden z najsroższych cenzorów warszawskich, który udzielił mu, na krótko wprawdzie, zbioru Afanasiewa, audytora wojskowego w Cytateli i na Pawiaku w 1863/4 r.

http://rcin.org.pl

Jego dzieło „Włościanie u nas i gdzieindziej“ poróżniło go z ówczesnem społeczeństwem (1881 r.) a przekonania polityczne, które jego, dawnego powstańca, zaprowadziły na pole ugody, dokonały ostatecznego rozbratu.

Na ten czas przypada założenie dziennika „Chwila“, który po krótkim żywocie zmarł w niesławie.

Badania naukowe.

Wacław Sobieski: Pamiętny sejm (1606) str. 253, Warszawa—Kraków 1913, Gebethner i Wolff.

W początku XVII w. parlamentaryzm polski zaczyna już rozstrajać się. Na sejmie 1606 r. energicznie i stanowczo zabrano się po raz pierwszy do wycięcia raka, który go toczył. Od początku do końca „liberum veto“ jest tu główną osią, około której wszystko się obraca, a śród walczących występują tak potężne postacie, jakich nie znajdziemy w nowszych dziejach ani przedtem, ani potem. Lecz prócz „liberum veto“ i reformy sejmowania nie mniejszej doniosłości jest tu jeszcze sprawa trzecia — wolności sumienia, o którą w starciu żarliwem nigdy może nie padło tyle dowodów za i przeciw. Była to chwila zaciekłej walki między dwiema partyami: królewską, dążącą do największego rozszerzenia władzy a Jana Zamojskiego i szlachty, broniących swobód i dawnego ustroju Rzplitej. Śmierć Zamojskiego przyspieszyła wybuch. Korzystając z usunięcia tej najpotężniejszej zapory, król postanowił uskutecznić swój plan reorganizacyi państwa tak pod względem wewnętrznym, jak zewnętrznym: zaprowadzić stałe podatki, stałe wojsko, zgnieść kiełkujące „liberum veto“, przyspieszyć wytępienie różnowierstwa, tron uczynić dziedzicznym, nad Szwecyą odzyskać panowanie. Dla tej ostatniej sprawy jednano sobie przychylność Austryi przez ożenienie i tajemne układy oraz pomoc na morzu przez oddanie elektorowi brandenburskiemu administracyi Prus i opieki nad chorym księciem pruskim. Ale w zamiary króla uderzyła z gwałtowną opozycyą szlachta. Wytworzyła się walka, podobna zresztą do tej, jaka toczyła się wówczas w Anglii pomiędzy parlamentaryzmem angielskim a absolutystycznemi dążeniami Jakóba I. Plan Zygmunta III był echem dokonywającego się w Europie rozwoju w kierunku absolutyzmu monarszego, lecz on sam zwichnął go i zdyskredytował w obliczu narodu przez niezręczne postępowanie i intrygi z zagranicą. Obraził uczucia patryotyczne szlachty i uczynił ją nieufną i podejrzliwą względem siebie: zaczęła go ona uważać za cudzoziemca, który gotów całą Polskę sprzedać obcym, byle przeprowadzić swoje plany.

Przyczyn rokoszu, który zawichrzyl Rzecząpospolitą nie należy więc upatrywać, jak to wówczas i później czyniono, w jakichś prywatnych zatargach pomiędzy królem a kilku niezadowolonymi osobistościami. Zebrzydowski czuł się niewątpliwie spadkobiercą myśli i dążeń Zamojskiego, jego następcą w obronie demokratycznych i republikańskich form życia narodu. Był on człowiekiem szczerym i działał w przekonaniu, pod wpływem pobudek ogólniejszych i szlachetnych. Nad ruchem, którego był niby wodzem, właściwie nie miał żadnej władzy. Był to ruch tłumów bez głowy, z pośród których przeciw niemu samemu niejednokrotnie zrywały się głosy niechętne, cierpkie a nawet obraźliwe. Zebrzydowski był gorliwym katolikiem, zaciekłym wrogiem tolerancyi religijnej czyli t. zw. konfederacyi warszawskiej a w rokoszu rej wodzili różnowiercy; pomimo tego on należał do ruchu, bo widział w nim tylko stronę polityczną—walkę przeciw Austryi. Na sejm do Warszawy nie przybył wcale.

A rokosz był właśnie następstwem tego sejmu, jego owocem i wynikiem. Królowi zarzucali rokoszanie, że go zawarł gwałtem, że chce rządzić jak władca absolutny, obalić parlamentaryzm, podatki ściągać bez sejmu, „izbę poselską zagubić“. Nawet, zdaje się, posądzali go, że naumyślnie starał się o zrywanie sejmów, ażeby wykazać ich bezużyteczność; król zaś bronił się, że szuka tylko „lekarstwa na nie“.

Zło, płynące z zrywania sejmów, wszyscy widzieli, i byli „żałośni“, ale winę tego jedni zrzucali na drugich. Obie strony grzeszyły niekonsekwencyą. Opozycya, występująca w obronie parlamentaryzmu, obstawała jednak przy prawie mniejszości, gdy król chciał przeprzeć głosowanie wedle większości, uniemożliwić protestacye i znieść „liberum veto“ — nie czyniła tego wszelako ze złej woli, lecz w przekonaniu, że właśnie dobry parlamentaryzm winien uszanować prawa mniejszości. Na czem

http://rcin.org.pl

polegało „liberum veto“ nie miano jeszcze na sejmie 1606 r. jasnego pojęcia. Mówiono tylko o prawie protestowania „trzech, czterech“, dopiero na zjeździe pod Sandomierzem wypłynęła w całej nageści zasada „liberum veto“ z zastosowaniem do jednostki. Na tymże samym zjeździe jednakże różnowiercy przeparli zasadę większości, jako obowiązującą na rokoszach i wogóle konfederacyach. Uczynili to wprawdzie w celu uchwalenia artykułu przeciw jezuitom, czemu chciał przeszkodzić jeden szlachcic, ale tem samem dowiedli, że nie byli zaciekłymi zwolennikami „liberum veto“. Król byłby ich pozyskał dla reformy głosowania, gdyby był na sejmnie pomógł do uchwalenia tolerancyi religijnej. Ale Zygmunt III zwalczał ją zaciekle, pomimo że domagała się jej nietylko garstka różnowierców, lecz większość Izby katolickiej, a pod koniec cała Izba. I wskutek tej jego niekonsekwencyi rozbił się sejm — katolicyzmowi poświęcono myśl wzmocnienia władzy.

„Najpobożniejszy“ z królów poddał uchwałę sejmu decyzyi swego spowiednika i kaznodziei, Bartcha i Skargi, a ci oświadczyli mu, że jej przyjąć nie może, gdyż nietylko nakazywała heretyków zostawić w spokoju, ale nawet bronić ich. Skarga w dodatku rozpoczął niezwłocznie agitacyę śród biskupów, żeby przeciw konstytucyi zaprotestowali. I ci, pobudzeni przez niego, choć dni poprzednich godzili się na uchwałę, zerwali zgodę sejmu swym protestem przeciw wolności sumienia, wniesionym w imieniu duchownych przez kardynała Maciejowskiego. Oni musieli przestrzedz, że przez wolność religii giną wszystkie religie.

Śród protestów i krzyków król zamknął sejm, który po sześciu tygodniach burzliwych narad źle się skończył.

Pewien Hiszpan, obecny wówczas w Warszawie, powiedział, że nigdy jeszcze nie widział ludzi, którzy by więcej się trudzili i kosztów łożyli na to, ażeby w rezultacie nic nie zdziałać.

Inny cudzoziemiec — de la Blanque — donosił do Wenecyi, że uchwała o tolerancyi była już tak blizką zatwierdzenia, iż nikomu przez myśl nawet nie przeszło, żeby można było ją podkopać. Stało się to jednak w ciągu jednej nocy narad i konszachtów z jezuitami.

Skarga został tak znienawidzony przez szlachtę, że jako sam mówi — „nigdy dotąd takich na się języków i takiego karania i szemrania niektórych nie odniosłem jako na tym sejmie“. Tłumy rokoszan zarzucały mu potem, że jest zdrajcą ojczyzny, zrywającym sejmy, i ten człowiek hartowny ugiął się przed nimi i napisał do generała zakonu: „Zapytuję pokornie, czyby nie było stosowne, abym się od dworu usunął“.

Za wszystko naród zapłacić miał przyszłością swoją.

W. B.

NOWE KSIĄŻKI.

M. Ernst: P l a n e t y i w a r u n k i ż y c i a n a n i c h, str. 412, Warszawa Wende.

P. Choynowski. H i s t o r y a n a i w n a, zbiór nowel, str. 211, Kraków 1913, książka.

A. Wyczółkowska. D u a l i z m o r g a n i c z n y, albo mowa i myśl, str. 109, Kraków 1913 Gebethner.

Fra Silvio. K r o n i k i P r o r o k ó w, str. 30, Łódź 1913, Mikołaj Zys.

Ciekawe powieści: A Dumas W i l c z y c e, tom II i Bolesławita B e z i m i e n n a, t. I, z ilustracyami. Warszawa 1913, Gebethner i Wolff.

J. Konczyński. L u d n o ś ć W a r s z a w y, studyum statystyczne, 1817—1911, Warszawa 1913 Wende.

W i e k XIX, Sto lat myśli polskiej, tom VII, str. 515, Warszawa 1913 Gebethner i Wolff.

W. Shakespeare. D z i e ł a D r a m a t y c z n e, tom VIII, str. 228, Warszawa Gebethner i Wolff.

G Ł O S Y.

P r z e g l ą d W i l e ń s k i otworzył swe kolumny dla rozpraw o „kwestyi żydowskiej w Królestwie Polskiem“. Niektóre z nich odznaczają się gruntownością sądu. W ostatnim numerze p. Wi-ski pisze.

Możemy i musimy to sobie powiedzieć, że żydzi względem naszych dążeń narodowych są usposobieni niechętnie lub obojętnie.

Żydzi, lud pieniądza i handlu, twórcy kapitalizmu jak pisze Sombart, nie uznają granic, tradycyi naszych, uczuciowości, ideowości. Dla nich Warszawa, czy Moskwa,

http://rcin.org.pl

Łódź, czy Petersburg—to tylko środowisko takich, lub innych interesów, lepszych lub gorszych konjunktur handlowych. Poza realnemi interesami własnymi nie są w stanie nie tylko dzielić, lecz odczuć i zrozumieć porywów, potrzeb i dążeń innych. Zjednywa ich tylko siła, potęga.

To też są centralistami zagorzałymi, są, że użyję paradoksu, — niemcami baltyckimi Rosyi — tylko z drugiego skrzydła, jako upośledzeni politycznie, jako opozycya.

Względem wszelkiego separatyzmu narodowego są usposobieni wrogo, zwalczają go namiętnie i otwarcie lub wykrętnie.

Obserwujemy to zjawisko wszędzie, gdzie żydzi występują.

Żądając w „Bundzie" — powietrznej autonomii kulturalnej dla siebie, potępiają dążenia do samodzielności innych ludów.

Biorąc udział w naszych zespołach partyjnych, przeważnie lewicowych, o zabarwieniu kosmopolitycznem, inteligenci żydowscy, nawet uważający się za polaków, stanowią zawsze skrzydło wrogie wszelkiemu separatyzmowi. To samo ma miejsce na Litwie, Białej Rusi, Ukrainie.

W ostatnich czasach zwłaszcza z łamów prasy rosyjskiej, żydzi występują jeszcze wyraźniej, bo wprost twierdzą, że polacy nie mają prawa decydować o losach Królestwa, jako kraju o mieszanej ludności, że autonomia Królestwa byłaby szkodliwa dla żydów,

Jeżeli weźmiemy pod uwagę liczebność żydów w naszych miastach, zwłaszcza w Warszawie, Łodzi, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że żydzi, jako posiadający kapitały i siłę ekonomiczną, już dziś mają wielkie wpływy w miastach, że oddziaływają w duchu swych interesów i potrzeb na samo społeczeństwo polskie przez specjalnie wydawane po polsku gazety, organizacyę, partye, to pojmiemy, jak groźną możemy spotkać i już zaczynamy spotykać — przeciwwagę.

Do zgubnych i trujących wpływów niewoli, do zaciemnienia oryentacyi politycznej, do bezwładu i tchórzostwa naszych klas posiadających — przybyła nowa groźna zapora, zapora, która może zawsze—przy warunkach odpowiednich — zmienić się w miecz, czy maczugę, przeciwko nam skierowaną.

KRONIKA POWSZECHNA.

— Biblioteka Jagiellońska powiększyła się w r. 1912 o 6,481 tomów dzieł, 119 tomów rękopisów, 4 dyplomaty, 1 tekę w zbiorze map geograficznych. Ogólnie posiada ona 422,094 tomów druków, 6446 rękopisów, 2873 inkunabułów, 440 dyplomatów, 3257 map geograficznych, 9,861 rycin, 4,494 dzieł muzycznych, 37 medalionów. W ciągu roku biblioteka otwarta była przez 262 dni; liczba czytelników wynosiła dziennie 157.

— Policya pruska rozwija wielką gorliwość w wynajdywaniu szykan, krępujących życie społeczne i gospodarcze w Poznańskiem. Na podstawie prawa, że w miastach, nie posiadających 60% ludności polskiej, nie wolno posługiwać się językiem polskim na zgromadzeniach publicznych, rozwiązano zebranie ostatniego Zjazdu Centr. Tow. Gospodarczego w Poznaniu, pomimo najsolenniejszego zapewnienia przedstawicieli rządu, że ten zakaz nigdy stosować się nie będzie do zebrań fachowców, obradujących nad swemi sprawami, i pomimo że poprzednie zjazdy Towarzystwa w Poznaniu tych przeszkód nie doznawały. Nie dawszy się sprowokować do żadnej awantury, stowarzyszeni rozeszli się i posiedzenie urządzili pod Poznaniem.

— W Lubelskiem w obrębie przyszłej „gub. Chełmskiej" bandytyzm rozgospodarował się w sposób niesłychany. Napad następuje za napadem; od jednego dworu banda przejeżdża się do drugiego z dziwną ufnością i przeświadczeniem o swem bezpieczeństwie. Bardzo ciekawe szczegóły czytamy w Ziemi Lubelskiej o napadzie na Cześniki w pow. Zamojskim, własność p. Sierakowskiego. Siedmiu ludzi obezwładniło cały dwór, gdzie tego wieczoru oczekiwano p. S. z Lublina z 5000 rb., o czem widocznie bandyci doskonale wiedzieli. W takiej wiejskiej posiadłości dość zwykle bywa ludzi, ażeby skutecznie stawić czoło siedmiu rozbójnikom. Ci jednak gospodarowali, jak u siebie, zabrali, co tylko z pieniędzy i kosztowności znaleźli, kazali sobie dać kolacyę, względem obecnych zachowywali się z jowialną grzecznością a jednocześnie z niezwykłą pewnością siebie i odjechali do innego dworu w pow. Zamojskim, gdzie tejże samej nocy dokonali drugiego napadu. Policya z Zamościa, zawiadomiona dość wcześnie, ażeby przyłapać bandytów, przybyła do Cześnik w sześć godzin po odjeździe bandy dla... spisania protokółu,

— Według danych urzędowych inspekcyi fabrycznej za rok 1911 liczba robotników przemysłowych w Królestwie Polskiem wzrosła o 136 tysięcy i wynosiła w danym czasie 327,438 osób płci obojga.

— Tow. sosnowickie rur i żelaza dało w r. ubiegłym swym akcyonaryuszom 28% czystego dochodu, 1,700,000 rb. przy kapitale akcyjnym 6,000,000 rb., „Les Sosnowice" są więc doskonałym interesem w rękach cudzoziemców. Tymczasem śród robotników Zagłębia panuje nędza i tysiące ich idzie szukać chleba po świecie.

— Hurtownia warszawska zaczęła sprowadzać sól —na początek 50 wagonów miesięcznie — z warzelni soli w Sławiańsku, znajdującej się w rękach polskich. Oddział handlowy Tow. Rolniczego i inne Tow. Rolnicze w naszym kraju zaopatrują się z tego samego źródła. Jest to pierwsze usiłowanie wyzwolenia się z zależności od syndykatu żydowskiego, który dotąd samowładnie rozporządzał w tej dziedzinie handlu. Oczywiście, nie przyjdzie to bez walki, która się też już rozpoczęła znaczną obniżką cen przez syndykat, pozornie niby rozwiązany.

— Na uniwersytecie lwowskim przyszło znów do zajść burzliwych pomiędzy studentami z powodu kilku łamistrajków żydów, którzy przybyli tu z Warszawy, ale uchwałą wiecu wyłączeni zostali z wykładów i z życia akademickiego. Żydzi syoniści, studenci i niestudenci, chcieli siłą utrzymać ich na uniwersytecie, czemu sprzeciwiła się młodzież polska, poparta przez ukraińców i żydów-polaków ze stowarzyszenia studenckiego „Zjednoczenie". Nie obyło się bez bójki. Ostatecznie przyspieszono świąteczne zawieszenie wykładów.

— Izbie poselskiej sejmu pruskiego przedłożono żądanie nowych kredytów na wzmocnienie niemczyzny w Prusach Zachodnich i w Poznańskiem — 235 milionów marek mają stać się tym puklerzem, o który powinny się rozprysnąć resztki oporu polskiego. Dotychczas rząd pruski zużytkował w tym celu 725 mil. marek. Do końca 1912 r. zakupiono 4250 kilometrów kw. ziemi, na których osadzono 20,593 rodzin niemieckich: w Prusach Zachodnich 6,719, w Poznańskiem 13,715. Z ziemi nabytej 1513 kilm. kw. należało do chłopów, 788 kilm. kw. do dóbr większych. 1394 kilm. kw. do dworów i lasów i 555 kilm. kw. do innych dóbr. Około 320 tysięcy osób przybyło wskutek osadnictwa do tych dwóch prowincyj; a pomimo takiego zalewu rząd niemiecki jeszcze się zbroi przeciw polakom.

— Gazetnyj Mir, rocznik, dostarczający informacyi o prasie peryodycznej w Rosyi, podaje, że z 2,200 wydawnictw, ukazujących się w 33 językach w 246 miastach Cesarstwa wraz z Królestwem i Litwą, na prasę polską przypada około 250, nie licząc 75 dodatków, wychodzących pod różnymi tytułami, i wydawnictw nielegalnych. W Warszawie wychodzi 180 pism, w Łodzi — 8, w Włocławku—7, Częstochowa i Lublin posiadają po 6 pism, Kielce — 4, Płock i Sosnowiec — po 3, Kalisz, Piotrków i Sandomierz — po 2, Hrubieszów, Dąbrowa Górnicza, Pabianice. Łowicz, Łomża, Pułtusk. Bychawa, Ostrów, Radom, Suwałki

http://rcin.org.pl

i Siedlce — po 1. W Wilnie wychodzi 11 pism polskich, w Białymstoku — 1. Petersburg posiada 4 pisma polskie, Kijów — 3, w Moskwie i Odesie wychodzi po 1. Z pism codziennych Warszawa posiada w języku polskim 10, Łódź — 4, Włocławek — 1, Częstochowa — 3, Lublin — 2, Kielce — 1, Sosnowiec — 2, Kalisz — 1, Radom — 1, Wilno — 2, Petersburg 1 i Kijów — 2. Ogółem pism codziennych polskich wychodzi w całem Państwie 30. Pod względem treści najliczniejsze są wydawnictwa polityczno-społeczno-literackie: jest ich ogółem 104, dalej religijne w liczbie około 30. Pism fachowych mamy ogółem 19. Poświęconych sprawom rolnictwa i związanym z niem 17; handlowi i przemysłowi — 14, tyleż kooperatywie i sprawom zawodowym. Sztuka, teatr i muzyka ma 10 organów; sport, lotnictwo automobilizm — 9. Inne działy specyalne znacznie mniej: nauki przyrodniczo-matematyczne, techniczne i inżynierskie, językoznawstwo, historya, geografia, etnografia, pisma dla dzieci — po 5 organów, pedagogiczne, humorystyczne i satyryczne — po 4. Po trzy wydawnictwa posiadają działy: prawniczy, ekonomiczny, drukarstwo, księgarstwo, bibliografia, mody; po 2 poświęcone filozofii, pożarnictwu i sprawom asekuracyjnym.

— Na wszechnicy Jagiellońskiej odbył się wiec w sprawie równouprawnienia słuchaczek ze słuchaczami. Liczba pierwszych zwiększa się rok rocznie, ale niechęć, z jaką je tu widzą zarówno profesorowie jak i większość kolegów, bodaj że wzrasta. Na prawo nie mają zupełnie wstępu. Prof. Ulanowski przerwał raz wykład, ujrzawszy na sali między słuchaczami kobiety i zmusił je tem do wyjścia. Wiec odbywał się śród wrzasków, gwizdania i tupania młodzieży męskiej, kabaretowych dowcipów i śmiechu. Nie brakło nawet kociej muzyki z pianiem koguta i szczekaniem psa. Tak się zabawiali młodzi polacy, wychowańcy najstarszego uniwersytetu polskiego.

— W Nowym Yorku odsłonięto niedawno u wjazdu do portu, obok wielkiego pomnika Wolności pomnik Indyan, wysokości 165 stóp. Na granitowej podstawie figura wojownika, odlana z bronzu, dwoma złożonymi palcami dająca symboliczny znak pokoju. Od kilkudziesięciu lat dawni nieprzejednani wrogowie „białych twarzy“ żyją już spokojnie na terytoryach zagwarantowanych im przez rząd, a nawet rozradzają się. W r. 1890 było w Stanach Zjednoczonych 243 tysiące czerwonoskórych, w r. 1910 liczba ich wzrosła do 305 tysięcy głów.

— Turyści w Galicyi przeżywają obecnie ciężkie chwile. Dość mieć w ręku mapę okolicy i aparat fotograficzny, ażeby zostać aresztowanym przez pierwszego lepszego przechodnia i odstawionym do sądu pod zarzutem szpiegostwa. W grudniu np. aresztowano w Borysławiu znanego taternika a ponieważ znaleziono przy nim mapę, kilka fotografij Tatr i aparat fotograficzny, przetrzymano go siedm tygodni w więzieniu. Za powrotem zastał mieszkanie swoje doszczętnie okradzione. Każdy może być narażony na podobne przejście, nietylko turysta, lecz i przejezdny.

— W Warszawie powstaje Tow. akcyjne „Włókno“ z kapitałem zakładowym 600 tys. rubli. Ma ono na celu organizowanie polskiego handlu hurtowego towarami włóknistymi i jest pierwszem usiłowaniem w tej gałęzi, zmierzającem do zapewnienia sobie niezależności od żydów.

— W gabinecie geologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego inżynier Fr. Drobniak przedstawił w dłuższym wywodzie smutny stan naszego górnictwa w Zagłębiu Krakowskiem. Jest ono częścią Zagłębia Morawsko-Śląsko-Polskiego, obejmującego około 7,000 kil. kw. przestrzeni, z czego na Galicyę przypada 3,000. Granice tego Zagłębia zostały jednak w ostatnich czasach znacznie rozszerzone i jest możliwe, że jego formacye sięgają aż po Kraków. W nowo dokonanych wierceniach odkryto węgiel znakomitej wartości w pokładach grubości od 1 do 7 metrów; lecz, niestety, zaledwie 28% z tego bogactwa znajduje się w rękach polskich, 16% w belgijskich, francuskich i niemieckich a 56% w pruskich.

— Tow. miłośników historyi ogłosiło konkurs na monografię któregokolwiek kościoła, pałacu, kamienicy lub kompleksu budynków w Warszawie, albo w najbliższej okolicy. Praca ma mieć charakter ściśle naukowy, być jednak dostępną dla szerszych kół czytelników i nie przekraczać 6 arkuszy druku formatu wydawnictw Tow. miłośników historyi. Nagrodzona, staje się własnością Towarzystwa. Nagroda 400 rb. Termin nadsyłania do 1-go kwietnia 1914 r.

ZMARLI.

Marya Arct-Golczewska, pracowniczka na polu pedagogicznem, autorka kilku dziełek popularnych i działaczka społeczna.

Wiktor Czermak, historyk, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Adam Świerczyński, włościanin, zasłużony na polu szerzenia oświaty pod Grodziskiem, jeden z organizatorów szkoły Macierzy, przewodniczący grodziskiego kółka rolniczego i członek Zarządu Tow. rolniczego w Grodzisku.

Emil Czarliński, działacz polityczny i społeczny w W. Ks. Poznańskiem.

DARY.

Dary dla szkoły w Bratnem do rozporządzenia Świętochowskiego

Z Red. „Prawdy“ 13 rb.
Juliusz Pinkus 6 rb. 20 kop.

Dla kursów w Kruszynku

Niepokojczyccy z Piotrkowa 10 rb.

Dla głodnych robotników w Łodzi.

J. P. 2. rb.
H. K. 50 kop.
Anusia C. 20 kop.

Listy i gazety dla Humanisty Polskiego prosimy przesyłać: Warszawa, Wilcza 32.

WARUNKI PRENUMERATY: 3 rb., z przesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu 3 rb. 30 k.
Numer pojedyńczy 30 kop.
Administracya: Warszawa Krucza 9, telefonu 51-26.

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Piękna 15.

http://rcin.org.pl